

GAZETA WYBORCZA
ul. Iwicka 19
00-735 Warszawa

Nr z dn.

252

28-10-91

Po premierze

CZEKAJĄC NA BECKETTA

„Nic nie da się zrobić” — to zdanie, niczym refren, powraca raz po raz. I rzeczywiście — niewiele się dzieje w smutnym pejzażu, gdzieś między ziemią a niebem, przy pełnej drodze, która stąd i dokąd prowadzi — nie wiadomo. Lucky i Pozzo tą drogą przychodzą i odchodzą. Vladimir i Estragon ślą w miejscu. Czekają na tajemniczego Godota z nadzieją, że odniemi on ich los i wypełni pustkę egzystencji.

Czekają i — właściwie nic ponadto. Estragon ściera buty, je marchewkę, drzemie. Vladimir rozgląda się, krąży między kamieniem a drzewem. No i oczywiście — rozmawiają. Przesypują słowa, które „szepczą, szeleszczą, szmerzą”. Jak liście, jak ziarenka piasku wrzucane w otchłań nicości.

Z tych słów, z pozornie błahych banalnych rozmów, z pospolitych działań powstaje niepostrzeżenie uogólniona, tragiczna wizja ludzkiej egzystencji. Wszystko nabiera symbolicznego wymiaru. Jak to się dzieje, niełatwo wyjaśnić.

Cała twórczość Becketta krąży wokół metafizycznej zagadki losu, która to zagadka pozostaje do końca nie zbadana. Jej dreńcąca obecność Beckett uświadamia na scenie pośrednio — tajemnica kryje się często w pauzach, niedopowiedzeniach, w na wpół muzycznym rytmie zdań. Wylania się nieoczekiwanie spoza starannie skomponowanych scen, gestów, obrazów. Sztuki Becketta przypominają delikatny, staroświecki zegarek. Wystarczy drobny pyłek, by zakłócić pracę mechanizmu. Wydaje się, że wciąż jest on nienaruszony, a jednak — to już atrapa.



Fot. Wojciech Glinka

Takie właśnie wrażenie sprawia spektakl w Teatrze Małym. Jest dobrze wyreżyserowany. Odbывается w dekoracjach pełnych smaku. Kwartet znakomitych komików — Gajos, Kobuszewski, Kowalewski i Michnikowski — imponuje aktorskim talentem. A przecież to, co najważniejsze, owa niezglębiona Beckettowska tajemnica — uleciała bez śladu.

Dlaczego? Ponieważ niestety dobra reżyseria i aktorski talent to w dramatach Becketta o wiele za mało. Te sztuki stanowią bardzo surowy egzamin z warsztatowej precyzji.

Gdy Lucky zapomina tekstu, jego skomplikowany monolog przeobraża się natychmiast w niezrozumiałą bełkot. Gdy partnerzy markują zadawane mu ciosy tak nieumiejętnie, że każdy widz z łatwością rozpoznaje teatralną fikcję — brutalna wymowa całej sceny traci nośność. Gdy z kolei tam, gdzie potrzebna

jest symboliczna umowność gestu, pojawia się naturalistyczna charakterystyka postaci, przestaje istnieć metafora. Gdy wreszcie finezyjnie prowadzoną rolę Michnikowskiego usuwają w cień szerokie gesty i donośne krzyki Gajosa i Kowalewskiego, niezwykle istotna postać Vladimira błędnie i niknie na scenie. W rezultacie delikatny mechanizm przestaje działać, zamiast tajemnicy panuje dosłowność. A dosłowność u Becketta znaczy niewiele — bohaterowie śpią, jedzą, rozmawiają... Cóż stąd, że prawdziwie?

Toteż na koniec nasuwa się przede wszystkim jedno pytanie. Jak to możliwe, że słynący z drobiazgowej perfekcji reżyser i pierwszorzędni aktorzy zdolni byli wspólnie osiągnąć zaledwie połowiczny efekt?

Wanda ZWINGRODZKA

Teatr Mały (Scena Instytutu Teatru Narodowego): „Czekając na Godota” Samuela Becketta. Reżyseria: Antoni Libera. Scenografia: Aleksandra Semenowicz. Premiera: 25 października 1991.